Wychodzą we Lwowie we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę*. Prenumerata rocznie 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięcznie 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. — Ryciny mód kwartalnie 1 Złr. 20 kr.
Bióro expedycyi w księgarni **H. W. Kallenbacha.**

Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie w głównym dzienniku po 4 kr. za następne po 2 kr.; w dodatku po 3 kr. za następ. po 1½ kr. za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.

3. Kwietnia 1856. №=40. Rok trzeci.

Wspomnienia pana Szambelana

przez J. I. Kraszewskiego.

Relata refero.

Dokończenie.

Nazajutrz rano, byłem na służbie w pokojach królewskich, wołają pazia — staję.

— Pójdziesz do p. Wyhowskiego, — powiada mi król, — i poprosisz go do mnie, natychmiast.

Skłoniłem się, ale tymczasem djabeł wiedział, kto był p. Wyhowski, gdzie on mieszkał i jak go było szukać? W wielkim kłopocie stoję i myślę, gdy szambelan Kownacki, siedzący podówczas w sali, który rozkaz dany mi słyszał, a podobno i wiedział o co chodziło, bo transpirowało o co rzecz szła, powiada mi mieszkanie Wyhowskiego. Nie było więcej nad 9 rano; ruszam szybko.

Nie pamiętam już na jakiej ulicy, wskazują mi mięszkanie przepyszne na pierwszem piętrze, — wchodzę.

W pokojach zastaję samę jednę tylko, przecudnej piękności kobietę, — tak, że na widok jej, osłupiały z admiracyi, ledwie zapytać mogłem:

— Czy zastałem p. Wyhowskiego?

— Nie, — odpowiedziała mi, — ale w krótce powróci, wyszedł na ranną przechadzkę.

— Jestem przysłany od J. K. M.

— Może pan wstrzymasz się na chwilę?

I jak się tu nie wstrzymać? kobieta jak anioł, Panie Boże mnie skarz, nie mogłem nawet pojąć, jak ten człowiek śmiał chodzić na przechadzkę, mając takie bóstwo za żonę.

Nawiasem mówiąc widziałem ją potem na Wołyniu powtórnie, gdzie za jakąś sprawą przybyła, i trafiło mi się, czego nigdy nie zapomnę, żem ją omdlałą w czasie trzęsienia ziemi, trzeźwił w objęciach. Ale wracam do materyi.

Śliczna owa pani prosi mnie do dalszych pokoi, prowadzi przez wspaniałe apartamenta, udekorowane po królewsku. Siadamy w gabinecie dotykającym sypialni, w której widzę łoże z baldachymem adamaszkowym. Wyobraź sobie pan, ten łotr Wyhowski, sto djabłów zjadł, ze wszystkich stron ubrał wewnątrz pokój — zwierciadłami. Jak Boga kocham prawda. Proszą mnie na czokoladę, łudzi mnie Pani, że mąż wróci wprędce, rozpytuje o przyczynę poselstwa, ja udaję skłopotanego, instyguję i siedzę. A jakże było nie siedzieć? Choć mi wracać kazano rychło, jakem się w te czarne oczy wlepił, ani sposobu odejść. Ej! byłażbo piękna! w życiu takiej drugiej nie spotkałem.

Że też to i takim pięknym trzeba starzeć! Ale choć to tu miło i słodko godziny lecą, Königsfeld gotów wsadzic do aresztu, rozum mi przyszedł nareszcie, i wycofałem się od tej syreny.

Na wschodach spotkałem właśnie pana Wyhowskiego, już powracającego i odniosłem mu słowa królewskie. Przyrzekł się stawić; piękny był mężczyzna i polityk. Wkrótce przyjechał na zamek i puszczony był do gabinetu J. K. M. gdzie sam na sam z półtorej godziny zabawił. Słyszeliśmy potem, że opuścił wszystko, co od L. wygrał na słowo, kontentując się gotowizną, precjozami. Taką to władzę miała nad królem, piękna niepiękna, ale zręczna i kształtna p. Gr. Wszakże kiedy mu zakazała słodkich oczu robić do księżnej Kurlandzkiej, i tego usłuchać musiał, zostawując innym ten kąsek.

Oto panie był przepych! Oto dwór drugi królewski powiem. Xiężna Jejmośc miała z sobą pazi bez liku, pp. de Solms, de Reta, i marszałka dworu, p. Klopmann. Rozrzutnie i ogromnie wydawała na wystawne w Warszawie życie. Sama pani Łazarowiczowa, co jej sukni dostarczała, kilka tysięcy dukatów za nie wzięła, bo ani księżna, ani nikt z pań i panien jej dworu, dwa razy jednej sukni nie kładły. Stosy ich zawalały całą jednę salę; wyjeżdzając darowała tę garderobę na szpitale. Sami królewscy furmani, co ją wozili, po kilkaset dukatów podostawali.

Przybyłej król J. M. chciał dodać paziów swoich, ale ci kaprysy stroili, i jako szlachta oświadczyli: że królowi tylko w tym obowiązku służyć mogą.

Jeden szambelan de Tylly został jej dodany, i miał się z tego dobrze. Był to piękny, zręczny i umiejący sobie radzić człowiek. Zwąchawszy, że u xiężnej pani żył w łaskach, poczyna jednego razu kwaśną minę stroić, wzdychać i chodzić zasmucony. Księżna poleca p. Klopmann, dowiedzieć się o przyczynie frasunku. Targuję się długo z wydaniem swej tajemnicy de Tylly, nareszcie cedzi przez zęby, że się zadłużył ogromnie, że mu dłużnicy pokoju nie dają, że od nich dnia ani nocy nie ma spokojnej. Tymczasem umówił się z Hurtigiem, Bessonem i innemi, podawał im kwity na znaczne kwoty, których i dziesiątej części nie był winien, oczekując wyrachowanego skutku, chodził udając wielce zafrasowanego.

Księżna, czy jej wpadł w oko, czy tak z łaski a z litości robiąc sobie renomę wspaniałości, poleciła nareszcie Klopmanowi zapłacić długi p. de Tylly.

Stało się jak przewidział, kupcy odebrali pieniądze, oddali je szambelanowi, xiężna z uśmiechem wręczyła mu kwity, a dobry humor powrócił. Oprócz tego, otrzymał na odjezdnem tabakierkę kameryzowaną z portretem księżnej, pełną dukatów, drugą mniejszą od pani de Solms i coś tam jeszcze.

Księżna była wcale piękna, i nie bez tego, żeby królowi nie miała się podobać, ale wcześnie to postrzegłszy Gr. wymogła na nim, że całkiem zobojętniał.

Kochał się już w niej otwarcie książę Kazimierz Sapieha, ale faworytem był niejaki Batowski, który potem do księżnej za granicę wyruszył. Księżna przez ciąg całego pobytu miała na usługi ekwipaż dworski i szambelana.

Człowiek już nie pamięta, co się na ówczas napatrzył nasłuchał, nażył! Było to życie! Jednego mi żal, to żem medalu z karuzelu nie schował; w pilnej potrzebie musiałem go dać do schowania żydowi Salomonowi, który mieszkał przy kadeckich koszarach, a tylem go potem i widział.

Opowiem panu jednę historyjkę ciekawą, tylko nie wiem o ile prawdziwą, którą z ust rzeźbiarza J. K. M., pana Regulskiego, słyszałem, o sławnym podskarbim koronnym, i opodkanclerzym Garnyszu.

Żył pod owe czasy w Warszawie stary kanonik, niejaki p. Piotr Szulc, człowiek niezmiernie bogaty, ale żyjący skąpo, dający na procenta i zastawy, który tym sposobem przyszedł do ogromnego w kosztownościach i kapitałach majątku. Zwąchał to pan podskarbi, który go znał dobrze, i był z nim w stosunkach nieraz, bo mu zawsze brakło na karty i rozpustę. Poprzyjaźniwszy się ze starym, wypatrzył gdzie co było, i ułożył sobie odziedziczyć po kanoniku. Ksiądz Piotr bojąc się śmierci, zawsze odkładał zrobienie testamentu do jutra i nigdy go zrobić nie chciał, choć miał ubogich bardzo krewnych. Gdy kanonik leżał na śmiertelnej pościeli, podskarbi, wyszukawszy Piotra Szulca między mnóstwem Szulców, którzy śmietankowe ciasteczka roznosili po Warszawie, datkiem i czmuceniem skłonił go do podpisania zawczasu przygotowanego testamentu, i dawszy mu potem kilkadziesiąt dukatów na drogę, wyprawił go zkąd przyszedł. Mógł tedy już przysiądz poczciwy podskarbi, że testament Piotr Szulc podpisał własnoręcznie.

Tymczasem kanonik umiera, kapituła zabezpiecza fundusze, a podskarbi pilnując się, pieczętuje *stante pede* wszystko, i wynosi na jaw testament.

Było tak i owak, ale podskarbi, któremu nie było z kim wojować tak dalece, zagarnął, jak powiadają z milion gotówki i ogromne precjoza. Tymczasem o testamencie przebąkiwać różnie zaczęto; zjawili się spadkobiercy ubodzy i różnemi sposobami usiłowali trafić do podskarbiego, ale on, albo ich do siebie nie dopuszczał, albo śmiejąc się z nich, odprawiał z niczem.

Ksiądz Garnysz, podkanclerzy, żyjący wówczas, bardzo zacny i poczciwy człowiek, znany był z litościwego serca, i chętnego dla biednych miłosierdzia. Spadkobiercy Szulca udali się do niego, padając uu do nóg, i prosząc o instancją do podskarbiego.

Reflektował się długo prałat, że on im się tu na nic przydać nie może, ale wreszcie nie mogąc się naleganiom oprzeć, choć nie ufał w skutek, pojechać obiecał do podskarbiego.

A trzeba wiedzieć, że ksiądz Garnysz miał jednę wadę — był tabacznik zapamiętały. Co chwila tabakę zażywał, nosił ją po kieszeni, a w mieszkaniu na każdym stoliku, oknie, stały tabakiery.

Jedzie ten zamyślony ksiądz Garnysz do podskarbiego i dobrawszy chwilę, w którejby miał świadków, zaklinać go poczyna na wszystko, aby się ulitował nad ubogiemi spadkobiercami Szulca, i jeśli nie wszystko, to choć część im należnego dziedzictwa powrócił.

— Dajże mi aspan pokój, Mci księże podkanclerzy, — odparł podskarbi, — to nigdy być nie może, tak, jak niepodobna jest żebyś Wmość przestał tabakę zażywać, niepodobna równie, żebym ja raz wzięte pieniądze powrócił.

W tem ksiądz Garnysz, biorąc żart na serjo, pyta:

— Na jakże długo mam przestać zażywać tabakę?

— Ba! choćby na cztery tygodnie.

— Biorę Wmci za słowo, panie podskarbi, *coram testes.*

— Ani razu?

— Staje umowa.

— Jeśli nie zażyję tabaki przez cztery tygodnie, podskarbi odda dziedzictwo kanonika naturalnym spadkobiercom.

— Opiszemy się.

— Opiszem.

Byli świadkowie, a podskarbi dodał nieodstępnego stróża ks. Garnyszowi, który dał słowo, iż, jeśli złamie umowę, sam się do tego przyzna, co byłby i zrobił.

Wystawmyż sobie teraz męki podkanclerzego! Kazał zaraz wszystkie tabakierki sprzątnąć i pochować, a w przedpokoju straż postawił, aby zażywający tabakę, z tabakierkami do niego nie wchodzili. Ze swojej strony podskarbi wszelkie robił starania, żeby skusić księdza Garnysza. Ale napróżno podsuwano mu tabakę.

Cztery tygodnie uszły, a ks. Garnysz chorował, czując jakąś ciężkość w głowie i niezdrowie nie opisane, ale wytrwał. Wezwany podskarbi, aby umowie zadość uczynił, zwyciężony ofiarą uczciwego człowieka, przyznał się, że wielką część zagarniętych kapitałów już puścił i wrócić nie może (co wynosiło praeter propter do 400,000), resztę zaś musiał oddać za tę tabakę.

Podkanclerzy rozdzielił ją między ubogich Szulców, i rozdzieliwszy, zaraz chorzeć począł na głowy boleść. A choć do tabaki powrócił, już mu ona nie pomogła. Umarł nieborak, a co najgorsze, że w drukowanych paszkwilach (*Rozmowy umarłych*), przypisywano śmierć jego niepoczciwym powodom.

Cała prawda, jak mi powtarzał pan Regulski, że na mózgu znaleziono materją zebraną, z powodu nagłego zaprzestania tabaki.

— Zdaje mi się, — mówił po chwili przestanku, zażywszy tabaki szambelan, — że gdybym teraz jeszcze zobaczył, przy siwych włosach, naszego pułkownika Königsfelda, tobym się go jeszcze zląkł. Prześladował bo nas biednych, a my jego; włóczył się po nocy, śledząc czyśmy na miejscu i nieraz ślizgał się na schodach po rozsypanym grochu, chwytał rozpalone klamki i t. p. Nazajutrz zaskarżeni paziowie, na których czele był swawolny Turkuł, szli aresztowani wysiadywać rekolekcje w Łazienkach, gdzie ich ze stołu królewskiego karmiono.

Co tośmy się nie raz napatrzyli!

Powiem panu o wiśniach Turkuła, ale o tych pewnie słyszałeś.

— Słyszałem w istocie.

— A więc o mojem jednem poselstwie do marszałkowej koronnej. Raz tedy król, jak nas zwykle posyłał, kazał mi pójść do synowicy swej, córki księcia ex-podkomorzego, nie, mylę się, do siostrzenicy, bo synowica córka ks. ex-podkomorzego była za hetmanem Tyszkiewiczem, który miał ten sławny dom pod karjatydami w Warszawie; a mnie król posłał do siostrzenicy, urodzonej z Zam... siostry królewskiej, która była za M... marszałkiem koronnym. Jak on sam był grzeczny i układny, tak ona wielce dumna i nieprzystępna. Król, który lubił żeby jego Grab... grzeczności robiono, wzywał panią marszałkową na wieczór do niej, gdzie i sam miał być.

Było to po obiedzie. Stawię się z poselstwem królewskiem, nie puszczają mnie. — Co to jest? — Nie można! — Jakto nie można, kiedy od króla J. M., albo to ja nie wiem obyczajów. — Więc, choć mi służba drogę zapiera, odpycham, drzwi otwieram i wchodzę przebojem. W trzecim pokoju zastaję panią marszałkową, leżącą na kanapie, która na mnie z gniewem ręką kiwa, i głosem powolnym woła: — Tra - a - a - wię, — tra - a - wię.

Ale ja nie zważając na trawienie, wypowiedziałem, co mi polecono, ukłoniłem się i odszedłem.

Król J. M. nigdy mnie potem do pani marszałkowej nie posyłał.

Miałem jeszcze jedno ciekawe poselstwo za p Szczęsnym P. kiedy to w czasie sejmu, gdy król gwarancyi odstąpił, i dał się Luchesiniemu obałamucić, pan ten, z ławki powstawszy, *eo instante*, chciał Warszawę opuścić. Królowi J. M. bardzo o to chodziło, żeby się z p. Szczęsnym widzieć i rozmówić koniecznie; posłano mnie już nocą z pachołkiem i pochodnią, szukać wiatru w polu. Poleciałem szparko do kwatery na ulicę długą, ale tam go już nie było; postawiwszy wartę aby nie wyjechał, sam udałem się go szukać konno po całem mieście. Na poczcie imieniem królewskiem zaprzeczyłem, aby mu koni nie dawano. Jeżdżę i jeżdżę, a wszystko nadaremno, aż na Krakowskiem przedmieściu, naprzeciw Banku Kabrego, spotykam żydka Judela, faktora, któregom przed godziną pytał o Pana P...— Co mi wacpan dasz, a ja pokażę gdzie on jest. — Targ w targ, daję mu cztery talary. Usłużny Jzraelita prowadzi mnie na trzecie piętro, do jakichś panienek. Tu zastaję w pierwszym pokoju dwie milutkie twarzyczki, ale o p. P. ani słychu! Drugi pokój na klucz zamknięty! klucza nie ma, jak mówią pustka tylko i skład rzeczy. Myślę sobie, żyd by mnie nie zwodził, — więc, pomimo krzyku i oporu, podważywszy kolanem, wyłamuję drzwi i wchodzę.

Pan P. siedział dość niespokojny w pokoju. Aż z trąbką pocztarską zajeżdża ekwipaż jego, bo mu mimo zakazu mojego z poczty konie dano.

Pan P. usilnie prosić i nalegać zaczyna, abym go puścił, ofiaruje mi pieniądze, potem dożywociem wioseczkę z Tulczyńskiego klucza, i kusi żebym z nim jechał. Naśmiawszy się do woli z tych niewłaściwych propozycyj, nalegam i coraz gwałtowniej domagam się, aby ze mną do króla jechał. Widząc że nie przelewki, chmurny idzie za mną. Oddawszy konia pachołkowi, siadam z nim do powozu. Była godzina druga z północy, gdym odszukał pana S. P., — o trzeciej stanęliśmy u króla. Jak skoro wszedł do gabinetu królewskiego, gwałt i krzyk dał się słyszeć, jakiemu równego w życiu nie trafiło mi się być świadkiem. Gadano potem długo i żywo, aż nareszcie król wyszedł i kazał mnie przywołać, bo mu pan P. o mojej nieugiętości wiele mówił. Wziął mnie pod brodę i pochwaliwszy, darował mi na pamiątkę piękny swój własny kameryzowany zegarek, roboty Kukumusa, zegarmistrza królewskiego. Pan P. S. też nazajutrz rano, zaprosiwszy do siebie, zobowiązał mnie do przyjęcia upominku. Wielkie obietnice, jakie mi przy tej okoliczności uczynił Król. J. M. spełzły na niczem. Przeszły te czasy swawolne i wesołe, a w ciężkiej biedzie wiele się przyrzeczeń zapomnieć musiało.

Przemytnik.

Ciąg dalszy.

Rzeczywiście opowiadanie pana Teofila zajęło mnie niepospolicie. W usposobieniu w jakiem byłem, każda awantura miała dla mnie pociąg. Nie ma nic odważniejszego jak tchórze, uciekający przed miłośnem niebezpieczeństwem. Gotowi by się puścić na najfantastyczniejsze wyprawy, i zuchostwem samego przesadzić Donkiszota.

I w tej chwili zdało mi się raz jeszcze widzić owe dwie czarne gwiazdeczki. Ale miasto dwóch łezek, zaiskrzyło się w nich coś nakształt uśmiechu szyderczego. A może i słusznie.

— Nic nad to łatwiejszego! odpowiedział mój przyjaciel. Ten pisarz coś go tu widział, ma brata przy straży, i sam jest zawzięty na czarnego żyda. Przysiągł że albo zginie albo go odkryje.

— Może także ma coś osobistego?

— Niemasz wyobrażenia jakie tu się u nas wyrabiają uczucia silne z powodu tych kontraband. Z jednej strony w ludzie panuje niesłychana sympatja dla kontrabandzistów; wszakże i chłopek nasz w nocy przemyka przez granicę z workiem śmierdzącego bakunu. Za jedną papużę gotów życie ryzykować. Z drugiej strony klasa średnia, należąca już nieco do inteligencyi, do której należą strażnicy i nasi urzędnicy prywatni, wre na nich złością. Jest między niemi rodzaj współzawodnictwa i zazdrości, która natęża ich umysły, i podbudza namiętności do niesłychanej działalności. Powiadam ci że my tu, nieraz mamy prawdziwą wojnę podjazdową, silną geralysówkę.

— Czy twój pisarz?

— Wspominał mi dziś jeszcze, że jakąś mają na myśli nową wyprawę, do której mnie głupiec namawiał, twierdząc że tym razem mają pewne nadzieje.

— Żeby tylko prędzej! Jestem do najwyższego stopnia ciekawy.

— Guza dostać!...

— Chociażby! Wyznam ci mój Teofilu że fałszywe miałem wyobrażenie o waszej okolicy, w której nic ciekawego zdybać się nie spodziewałem.

— Widzisz! jak wy tam w mieście nic nie wiecie. Żebym się nie bał odebrać ci resztę snu....

— Opowiedziałbyś może co jeszcze! mów!

— Nie dam się prosić! i tak samowar zaczyna sy-

cześć: to wierny akompaniament, do nocnych pogadanek.

Wypatrzyłem wielkie oczy na mego przyjaciela, zwąchawszy coś fantastycznego w tem powiedzeniu. Ale pan Teofil był najniewinniejszy. Syczenie samowaru przywiodło mu na pamięć herbatkę, której był niepospolitym amatorem, i którą sowicie akompaniował dalsze opowiadanie swoje.

— Więc tedy mówił dalej, grzejąc się koło kominka, którego miły ogień zasłaniał przedemną z całym egoizmem starego kawalera. Więc tedy jeżeli mamy czarnego żyda, postrach całej okolicy, mamy także białego żyda, upodobanie i zaszczyt całej okolicy.

— Jakto?

— U mnie w miasteczku jest stary żyd Aron, który siedzi tylko przy wnuku swoim, i niczem się nie zajmuje tylko czytaniem starozakonnych ksiąg, w których ma być bardzo uczony, i rozsądzaniem spraw okolicznych.

— Więc jest rabinem?...

— Nie jest nim w samej rzeczy, ale szanują go więcej niż stu rabinów. I powiem ci prawdę że słusznie. Znam go już z dziesięć lat, gdy się tu przeniósł z innej okolicy, i mam wyraźny szacunek dla jego czynów szlachetnych.

— Szlachetnych znowu!

— Otożto ludzie postępu, radykaliści moralni! Nie mogą uwierzyć że żyd z brodą żydowską, może być człowiekiem prawym i szlachetnym.

— Nie dla tego, ale u nas, przy tem całem żydowskiem otoczeniu....

— Trudno bardzo żydowi być i okazać się uczciwym. Masz nieco słuszności. Jutro pójdziemy do niego, a sam się przekonasz, mówiąc z nim, patrząc na tę twarz, szczególnie sympatyczną i miłą. I zapewne zastaniemy gości u niego, bo niema dnia, w którymby nie przyjeżdżali z bliska i z dala po dobrą radę, lub z jakim kompromimisem. Żydzi go się boją a urzędnicy wszyscy lubią. Co się zaś tyczy otoczenia... to i to nie wyda ci się zapewne tak bardzo nieprzyjemne.

— Jak to?

— Wnuk jego u którego mieszka, ma córkę, a zatem prawnukę Arona.

— Która zapewne nie mało się przykłada do entuzyjazmu nie mało się przykłada, z jakim opowiadasz o białym żydzie.

— Że jest piękna to nie sekret!

— A żeby cię! pomyślałem. Ty prościuchu, z twojem wyobrażeniem!

— To nie sekret! powtórzył między półziewnieniem, a półłykiem gorącej herbaty. Niewiem, ciągnął dalej najobojętniej, czy widziałem kiedy co piękniejszego jak Ruchla.

— Ruchla znowu?

— Ruchla się nazywa. Jest to typ piękności wschodniej, idealnej prawię. A oczy...

— Oczy ma czarne?

— Oczywiście czarne!

— Ty lubisz czarne oczy? spytałem z mimowolną ciekawością...

— Ja?.. ja? zapytał wytrzeszczywszy na mnie oczy, pogardliwie mnie mierzące. Ja? powtórzył i splunął. Ten niepoczciwiec nie przecedził mi dobrze herbaty; coś wlazło mi do ust.

— O szczęśliwe stare kawalerstwo! westchnąłem z głębi serca, bo mi to wspomnienie czarnych oczów zatęniało w piersi, i znowu ujrzałem dwoje cudnych, czarnych oczów, patrzących na mnie tak lubo, tak tęskno!... Żeby nie trzydzieści mil, nie błoto i deszczyk podolski i bojaźń przed ognistemi oczami, kto wie coby się było stało. Westchnąłem i napiłem się herbaty.

— Sam tedy jutro zobaczysz i zadecydujesz czy ładne są te oczy, czy nie! Jako literat musisz być znawcą do tego . . . Lecz północ już bije! chodźmy spać co prędzej. Od czasu jak tu mieszkam, jeszcze mi się podobny nie trafił exces.

Nazajutrz tedy koło południa wyszliśmy spacerem, nieuważając na zimny dość, jesienny wietrzyk. Folwark i dwór pana Teofila leżał na boku nieco, miasteczko zaś same było nad samą granicą, która dzieliła je prawie na dwie części, połączone długą dość grobelką, rzuconą na mały stawek czyli raczej wielkie błoto. Okolica była płaska, smutna, bezdrzewna, mieścina nie dodawała jej wcale wdzięku; było to bowiem prawdziwie podolskie miasteczko, z błota zda się i z gliny uklejone, pełne brudu żydowskiego, śmieci odwiecznych, i nieporządku wszędzie odbijającego się. Domostwa, po większej części żydowskie, bez wszelkiej czyli raczej żydowskiej architektury, stały w najdziwaczniejszym bezładzie, jakby je naumyślnie kto pomieszał, i w tym labiryntowym do siebie stosunku pozostawił. Prócz tak zwanego rynku, który był właściwym placem targowym, ujętym w ramy kilku domów zajezdnych, nie co obszerniejszych i choć na oko porządniejszych, reszta miasteczka składała się z mnóstwa zaułków ciasnych i tak pogmatwanych, że w nich zwykle trudniej dać sobie rady, niżeli w ulicach największego miasta.

Na jednym z takich zaułków, szerszych nieco od frontu, stało domostwo z porządniejszym nieco frontem, bo był nawet przyczołek drewniany, w jakieś różnobarwne zygzaki pomalowany, i były nawet słupy brzuchate i niekształtne, arcydzieło jakiegoś architekty żydowskiego. Do tego domostwa dążyliśmy krokiem prawdziwie żółwim, bo pana Teofila, jako dziedzica, zdybywały ciągle przywitania, mieszane rozmowami najrozmaitszemi i najnudniejszemi. Jak na dobitek, gdy już mi pokazał mieszkanie Arona, na przełaj zaszli nam drogę: rabin i cały kahał wychodzący, ze szkoły, której dach spiczasty z wielką gałką na wierzchu, nie daleko ztamtąd sterczał. Pozdejmowawszy jarmurki zaczęli rozmawiać z panem dziedzicem o jakichiś kahalnych interesach! Pan Teofil wierny swemu nudziarstwu starokawalerskiemu, rozmawiał z niemi najrozwleklej. Znudzony poszedłem naprzód, i pomału wszedłem pod wystawę domostwa. Niemogąc się przyjaciela doczekać, a widząc że drzwi wchodzące odchylone, wszedłem przez nie do jakiejś przedsieni ciasnej i nadzwyczajnie ciemnej. Chciałem już wracać na ganek, gdy nagle usłyszałem głosy jakieś, rozmawiające o kilka kroków odemnie. Nieładnie to być ciekawym, ale cóż robić? Jestem nim. I jakże niebyło słuchać, gdy się ozwał w pół przytłumiony głosik kobiecy, wcale wdzięczny.

— Niewierzysz mnie, ty jesteś niedobry.

W głosie był dźwięk podwójny, bo i samego głosu i jakiegoś wyrazu pieściwego, który mnie doświadczonego jeszcze w większą wprowadził ciekawość. Wymowa wszakże była błędna, i zakrawająca choć lekko bardzo na wymowę żydowską.

— Cóż mi z tego, kiedy niechcesz mnie posłuchać, ozwał się głos męski, pełny i silny.

— O mój Boże! odrzekł głos kobiecy; czyż ja mogę ciebie mój kochany, posłuchać, kiedy mnie radzisz...

— Abyś raz porzuciła ten dom...

— I ojca!. i pradziadka..

— Wszak wiesz że inaczej być nie może.... Moja droga, ja ciebie pewnie kocham szczerze...

— Kochasz!

Dziwna rzecz! co za czar jest w tem słowie! wymówione nawet przez usta żydowskie, wydało mi się pełne wdzięku. Westchnąłem szukając w ciemnej sieni owych dwóch czarnych oczów, za któremi już mi było tęskno.

— Że cię kocham, najlepszy masz dowód, bo chcę abyś była moją żoną, a inaczej być nie możesz, tylko jak zostaniesz chrześcianką.

— Zostanę czem chcesz!

— Ksiądz dziekan już wie o tem, i mogłabyś znaleść schronienie u pani posesorowej, dopóki....

— Czyż to Boga nie można chwalić, każde swoim sposobem.

— Nie mów tego, bo wiesz że mnie to gniewa...

— Nie powiem już!.... zostanę chrześcianką... ale uciekać! słuchaj, to coś okropnego...

— Stary Aron tak cię kocha!... i tak rozsądny, zwierz się mu...

— A niech mnie twój i mój Bóg chroni od tego; ty go nie znasz!.. Raz jeden spróbowałam wspomnieć mu o tem tak zdaleka. Myślałam że mnie spali oczami swemi, a jak stanął nademną i podniósł rękę do góry, jakby chciał przeklinać każdą dziewczynę naszej wiary która chce ją zmienić dla miłości, a jak krzyknął, że własne dziecko w takim razie własnemi zabiłby rękami, ja myślałam że padnę, że umrę zaraz...

I gdy to mówiła, głos jej nadzwyczajnie drżał wzruszeniem.

— Cóż więc robić? zapytał głos męski.

— Czekać!..

— Czekać i jeszcze czekać!...

— A jaż nie czekam, a mnież serce nie boli.. Ja ciebie tak kocham!.. (C. d. n.)

Zapóźno.

Pytasz się mnie piękna pani
Czem me serce tak się rani?..
Zkąd w mej pieśni ból się bierze?..
Ach ja młodość zmarnowałem,
Jam nie szalał wiosny szałem,
Młody, jam nie kochał szczerze.

Pełny kielich spływał w usta,
Jam nie pragnął, więc chęć pusta,
Rwała wylać zdrój do fali;
Ku mnie się kłoniły kwiaty,
Pomarańcze i granaty,
Obojętny, szedłem dalej.

A gdy wieczór mnie zaskoczył,
I w purpurze słońce zbroczył,
Wtem pragnienie mię owłada!
Lecz dno suche u kielicha,
Gdzie się dotknę, kwiat usycha,
I noc ciemna już zapada.

Z serca rwie się spiew poecie,
On opuszczon błądzi w świecie,
Ztąd w mej pieśni ból się bierze!
Ach ja młodość zmarnowałem,
Jam nieszalał wiosny szałem,
Młody! jam nie kochał szczerze!

Listy z podróży.

1.

Kolini w zatoce *Kamieszu*, w lutym 1856.

Ciąg dalszy

W krótce potem sprawy greckie występują wyraźniej na widownię historyczną. Cały południowy brzeg morza czarnego okrywa się greckiemi kolonjami: Amastris, Jenopolis, Cinolis, Zagora, Amizus, Trapezus i inne. Najgłówniejszą rolę gra Sinope, założona przez Miletyńczyków w VII przed Chr. wieku. W krótce potem oddzieliła się ona od metropolii i z wielą miastami w sąsiedztwie utworzyła niepodległą rzeczpospolitę. Mała kolonia Lakonien, osiadła w sąsiedztwie Zików i utworzyła później narodek Henioków. Po krótkim czasu przeciągu kolonije południowego brzegu zakwitły dobrym bytem. Głównem źródłem bogactwa ich był handel ze wschodem. Kraj przytem, przez nie zamieszkany, ze zbytkiem dostarczał zboża, budowniczego materjału, doskonałych owoców i winogron,—angorska wełna sławną już była wówczas, paflagońskie konie i synopski szkarłat ceniły się wysoko. Pod względem oświaty, kolonje południowego brzegu nieustępowały w niczem Grecii: ztąd wyszli liczni, znakomici w starożytności mężowie, jak Diogenes Cynik, Hipark astronom i inni.

Cały północny brzeg Czarnego morza długo nieznajomym był Grekom. Krążyły straszne wieści o surowym klimacie krajów tych, o dzikich plemionach, zamieszkujących strony te. Biada żeglarzom, których burza zapędzi na niegościnne brzegi! Samo morze Czarne, nazywano wówczas *Pontus axenos* (Morze niegościnne.[1])

Tymczasem Darjusz przedsiębierze wyprawę do Scytii (620). Wyprawa, jak wiadomo nie udała się.[2]) Głównem następstwem jej było to, że, z jednej strony, półdzikie pasterskie narody, mieszkające na obszarach nieobejrzanych, ochrzczonych ogólną Scytii nazwą, ograbiwszy bogate Persów obozy, poznajomiły się ze wschodnią rozkoszą;—z drugiej znów strony, Grecy poznali lepiej kraj bajeczny dotąd,

[1]) Herodot ks. IV r. 71. 72. Strabon ks. VIII. Justyn ks. II.

[2]) Herodot ks. IV. r. 120—125.

poznali jego roślinne i mineralne bogactwo. Dwa te następstwa brzemiennemi się stały tysiącem klęsk w przyszłości, a nawet—zgubą starego świata· Dotąd dzikie Scytii plemiona, surowe i wolne, koczowali sobie spokojnie na stepach. Homer nazywa ich najsprawiedliwszymi z ludzi, Quintus Curtius unosi się nad prostotą życia ich, nad ich zamiłowaniem swobody. Ten sam autor, a również Justyn, utrzymują, że Scytowie nieznali nawet wartości metalów. Odtąd roskosz i przepych zatraci czystość obyczajów i prostotę. Chytra polityka Greków,—którzy poniżając ceny na zboże i produkta ziemi, a drogo płacąc niewolników, starali się poróżnić i osłabić groźnych sąsiadów [1],—rzuci niezgody i klęski, wojna zaleje krwią stepy, aż z głębi pustyń powstaną nieprzeliczone hordy mścicieli, i nietylko Greckie kolonie Taurydy, ale i wieczną Romę w grobie położą.

Wkrótce po wyprawie Darjusza zjawia się pierwsza kolonja grecka na północnym brzegu Czarnego morza: tą była Olbia przy ujściach Bohu i Dniepru. Mieszkańce Olbii pojęli co jest głównem bogactwem kraju: na dziewiczych dotąd stepach stanął kościół Cerery— karmicielki, uprawne po raz pierwszy pola okryły się złotym plonem, miasto zakwitło dostatkiem. Scytowie, koczujący w sąsiedztwie, poszli za przykładem Greków i pomieszani z nimi utworzyli mały narodek Borystenitów, osiadły pomiędzy Bohem a Dnieprem. Równocześnie Mileteńczykowie założyli Pantykapeę (Kercz). Pomyślny stan miasta tego stał się ponętą dla innych; zaraz więc potem widzimy powstające: Teodozię, Fanagorię, Hermanesę, Coepi i inne. W V. przed Chr. wieku cała przestrzeń na wschód, począwszy od Teodozii, może aż do Wołgi, utworzyła królestwo Bosforskie (Vospor) [2]. Prawie jednocześnie z Olbią i Pantykapeą, Heraklejczykowie założyli Chersonez lub Trachaję. Mała ta rzeczpospolita, różnych doświadczając losów, najdłużej przetrwała.

Od Vgo przed Chr. wieku zaczyna się kwitnący stan handlu na morzu Czarnem. Pontus Axenos przemienia się w Pontus Euxenos (morze gościnne). Rozprzestrzeniająca się cywilizacja, a raczej miękkość i roskosz rodziły coraz nowe potrzeby i handel wschodni nabierał coraz większej wagi. Podbicie Persyi przez Aleksandra Wielkiego przyczyniło się do rozprzestrzenienia w Europie zwyczajów wschodnich i ułatwiło stusunki handlowe; pomimo to jednakże epokę tę naznaczyć można, jako początek upadku handlu czarnomorskiego ze wschodem. Aleksandria stała się ogniskiem oświaty i handlu. To co Tacyt opowiada o posągu Jowisza Plutona Alexandryjskiego, nie jest czem innem, jeno mitem o przeniesieniu się handlu wschodniego z Synopy do Aleksandrii. Kapłani Egipscy tak opowiadają zdarzenie to: »Ptolomeusz, pierwszy król Egipski z macedońskiej rasy, utwierdził panowanie swe i czynnie zajęty był dokończeniem powstającego miasta. Gdy więc sypie wały, buduje kościoły, rozmyśla nad wprowadzeniem obrzędów religijnych, ujrzał razu jednego we śnie młodziana postawy nadludzkiej. Ten przybliżywszy się, rozkazał mu posłać do Pontu najlepszych przyjaciół swoich i przywieźć z tamtąd posąg głównego bóstwa, dodając, że to zapewni wielkość i sławę miastu. Mówiąc to, młodzian ów zniknął wśród wielkiej jasności. Ptolomeusz uważał sen ów jako proroctwo i rozpytywał się kapłanów egipskich o znaczenie jego. Kapłanie niewiele wiedzieli o Poncie i o bóstwie, któremu tam cześć oddają. Ptolomeusz każe więc przywołać Tymoteusza, Greka, bawiącego w Aleksandrii, w celu zaprowadzenia Eleuzyńskich tajemnic. Tymoteusz znalazł Greków, znających strony owe, i od nich dowiedziano się, że w Poncie jest starożytne miasto Synopa, a niedaleko miasta tego — kościół Jowisza Plutona. Przy posągu Boga tego jest drugi posąg niewieści, o którym zwykle mniemają że jest Proserpina. Ptolomeusz, zajęty sprawami rządu, zapomniał o śnie swoim i rozkazie Boga. Lecz znowu widmo stanęło przed nim we śnie i grożąc, powtórzyło też same słowa. Ptolomeusz wnet wyprawia posłów i dary dla króla Scydrotemis, który wówczas władał Synopą. Posłowie wstąpili po drodze do Delf, gdzie wyrocznia odpowiedziała im jasno »że mają zabrać ojca, a zostawić siostrę.« Trzy lata posłowie Ptolomeusza bawili w Synopie, starając się prośbami i darami skłonić króla Scydrotenis do wydania im bóstwa. Król nakoniec dał się uwieść złotem, lecz naród nie pozwalał. Powiadają, że bóstwo samo wsiadło na egipską tyremę, i tak zostało przewiezionem do Aleksandrii, gdzie mu zbudowano kościół, godny wielkości miasta.« [1] Nieważając na polityczne formy podania, fakt historyczny wyraża się dobitnie. Widzimy zabiegi Ptolomeuszów, aby zwabić kupców do Alexandrii, widzimy że bóstwo owo mistyczne — bogaty handel ze wschodem, samo wsiada na egipską tyremę: odtąd Aleksandrja ma być głównym kościołem jego. Lecz wyrocznia powiedziała prawdę »biorąc ojca, zostawili siostrę:« Kolonjom morza Czarnego została jeszcze cała Azja środkowa, zostały komunikacje wodne, handel karawanowy. Strabon powiada, że w Dioskurias (Iskurich), mieście leżącem przy iberyjskim gościńcu, można było usłyszeć 300 różnych języków.

Zboże było głównem bogactwem kolonii północnych. Dobry byt kolonii tych rozwijał się względnie do powiększania się ludności w Grecji. Za czasów Peryklesa, t. j. gdy Grecja stanęła u szczytu rozwoju cywilizacji swej, królestwo Bosforskie stanęło również na najwyższym stopniu przeznaczonej mu od losu potęgi i pomyślności. Przedmioty sztuki, znajdywane w grobach Pantykapejskich, jako: posągi, wyroby z metalów, z drzewa i kości, wymownie świadczą, jak wysoko stały sztuki piękne w epoce owej, a porównane z zabytkami innych czasów, każą wnosić że epoka Lewkona dla Pantykapei była tem, czem epoka Peryklesa dla Grecii. Lewkon zawarł z Atenami przymierze handlowe. Na mocy warunków przymierza tego Ateńczykowie oswobodzeni byli od cła $\frac{1}{30}$ płaconego do skarbu. Ateńczykowie, zawdzięczając dobrodziejstwo wyświadczone rzeczypospolitej, mianowali Lewkona obywatelem Aten, a warunki przymierza tego, wyryte na płytach marmurowych, postawiono w Pantakapei, Bosforze trackim i Pirei. W ówczas roczny wywóz pszenicy z samego Bosforu dochodził do dziewięciu milionów medimów (2.210.600 czetw.[3]) Prócz zboża wywożono:

[1]) Strabon ks. VII. Atheneus. XII.

[2]) Cary. Des Rois du Bosfor. Mem. de l' Ac. de Inscription et des belles lettres.

[1]) Tacyt. Historia ks. IV. roz. LXXXIII i LXXXIV.

[2]) Aszik. [3]) 3,868,555 korcy.

skóry, sól, ryby, wędliny. Grecja dawała w zamian przedmioty zbytku i roskoszy.[1])

Pomyślny stan greckich czarnomorskich kolonii trwał do czasu podbicia przez Rzymian Grecii i małej Azii. Od czasu tego zaczyna się stopniowy upadek handlu na morzu Czarnem, — stopniowy upadek cywilizacyi na brzegach jego. Miasta brzegu południowego, pustoszone przez Rzymian, Partów i przez inne hordy, zaledwie zachowały ślady narodowości swej; o pomyślności mówić już nie można. Legiony rzymskie zagrzebywały często w gruzach miasta ojczyste we Włoszech, często Rzym grabiły; — cóż działo się z nieszczęśliwemi krajami, uważanemi jako zdobycz wojenna!.. Nienasycona chciwość prokonsulów odarła nietylko domy, ale kościoły nawet. W stanie takim handel musiał zniknąć: stosunki ze wschodem ustały, kraje, niedawno kwitnące, za czasów Klaudiusza stały się »bezdrożną pustynią, gdzie koczowały Nomady,« Morze, okryte niedawno tysiącami statków »niemało już portów« dla Rzymian.[2])

(Ciąg dalszy nastąpi później.)

Rozmaitość.

***Czego ludzie nie zmyślą!** Jakiś p. *Brown* w *Literary Gazetty* odwołując się do pułkownika *Stanhope*, który znowu odwołuje się do pułkownika *Campbell*, opowiada z najzimniejszą krwią następującą anegdotę.

»Napoleon mówiąc razu jednego z p. *Niel Campbell* komisarzem na wyspie Elbie, wychwalał nadzwyczajnie *Miltona Ra utracony*. Między innemi zapewniał, że plan bitwy austerlickiej zawdzięcza Miltonowi, który w szóstej księdze swego poematu opisuje, jak szatan morderczo występuje z artylerją swoją na przeciw św. Michała i jego aniołów, ukrywając ją dla zdrady w gęste szeregi.

Nie wdając się w rozbiór tej anegdotki, tę tylko zrobimy uwagę, że już dziś nikogo nie godzi się potępiać za plagiat literacki, jeżeli tak wielki autor bitew jak Napoleon, pożyczał pomysły swoje u spokojnych poetów.

*** Trzemeszno** jest jedno z najciekawszych dziś miasteczek na ziemi polskiej. Sławny był tam dawniej klasztor ks: kanoników regularnych, który jest dziś na poły ruiną, na poły lichem gymnazjum. Opaci tutejsi bywali sławni w kraju, jak Mieleńscy, Miaskowski, Miłoszewscy, Gembiccy, Starzewscy i. t. d. Są tam jeszcze różne ciekawości, jako to; kielichy *Dąbrówki*, *Św Wojciecha*, *Kazimierza W* i *Władysława Jagiełły*. Są tam także ważne pisemne dokumenta, jako to: przywileje, nadawane przez królów i książąt polskich. Pomiędzy innemi znajduje się pisany na pergaminie list króla Władysława IV do papieża Urbana VIII. Proboszcz miejscowy zajmuje się pilnie kreśleniem dziejów klasztoru i opactwa w Trzemesznie. Na łące przy Trzemesznie pokazuje lud źródło, w której miał Św. Wojciech myć nogi swoje.

*** Bojaźliwość** czyli tchórzostwo, po prostu powiedziawszy, jest najczęściej fizyczną ułomnością, z której natrząsać się niegodzi. Żartobliwe straszenia bojaźliwych mogą się ukończyć pociesznie, z ogólnym śmiechem, ale nieraz mogą wziąć obrót tragiczny. Dwa takie wypadki, zdarzone na prawdę, posłużyć mogą za przykłady do jednego jak i do drugiego zakończenia. Przed kilkunastą laty żył w pewnej okolicy poczciwy jeden jegomość, mocno otyły, sławny ze swego nadzwyczajnego tchórzowstwa, o bajeczność trącającego. Sąsiedzi korzystając z tej słabości, na cudne nieraz próby wystawiali biednego grubasa. Najlepiej udało jednemu się z najzażylszych jego przyjaciół. Gruby jegomość przyjechał do drugiego sąsiada z niemałym wydatkiem odwagi, bo jadąc do niego trzeba było jechać przez rzekę w bród. To też roztasował się na dni kilka, tem więcej że się dużo pozjeżdżało gości. Grubemu kazał gospodarz w własnym posłać pokoju, podczas gdy w sąsiedniej salce siedzieli drudzy, czekając na komedją naprzód już zapowiedzianą. Gruby położył się zwyczajem swoim na znak, puszczając dymy z długiego cybucha, gdy obracając głowę, postrzegł w ścianie, nad samą głową, jakieś podejrzane dziury.

— Co to? zapytał gospodarza, leżącego naprzeciwko.

— Ej to ja zwykłem dla ćwiczenia ręki pistoletem gasić świecę! odpowiedział gospodarz nejnaturalniej.

— Tylko proszę ciebie, nie żartuj; zawołał przestraszony jegomość, i co prędzej zgasił świecę koło siebie.

W tej chwili i gospodarz zgasił świecę, porwawszy pistolet w rękę, i tak dobrze wymierzył okiem, że gdy strzelił w ziemię, w tej samej chwili pantoflem uderzył w sterczący gościa brzuch.

Biedny grubas usłyszawszy strzał i uczuwszy uderzenie a jeszcze w takie, wielce przez niego szanowane miejsce, porwał się za brzuch, i krzyczał przeraźliwie.

— Zabił mnie!.. zabił mnie!..

Przekonany był na prawdę że jest kulą trafiony,

Co też, by nie widzieć rany okropnej, szczelnie zamknął oczy.

Drudzy goście usłyszawszy strzał i krzyk, przygotowani na jakąś facecją, wpadli z śmiechem i światłem. Biedak gruby nic nie widział, nic nie słyszał, jeno ciągle krzyczał bez pamięci. I z pół godziny trwało, zanim mu całą rzecz wytłumaczono, i o tyle uproszono, by przynajmniej otworzył oczy, i przekonał się o nienaruszeniu drogiego brzucha.

Tym razem skończyło się na facecyi, ale wiadome jest jakie się wydarzyło okropne zdarzenie w jednej ze znakomitych rodzin naszych. Jedna pani mając syna dosyć bojaźliwego, a mając usposobienie wesołe, postanowiła przestraszyć go, aby go potem odkryciem prawdy wyleczyć. W nocy tedy przebrana w bieli, z dodatkiem mnóstwa fantastycznych szczegółów, stanęła przed oknem, i nieludzkim, grobowym głosem zaczęła wołać na syna.

— Wincenty! Wincenty!...

Młody człowiek przerażony na prawdę i widokiem i głosem, porwał za pistolet.

— Kto tam? zawołał drżącym głosem. Powiedz bo strzelę.

Matka miasto odpowiedzi, coraz okropniejszym wołała na niego głosem.

Syn coraz więcej przestraszony, powtórzył raz i drugi zapytanie. Nareszcie z drżącej ręki wypadł strzał, celny na nieszczęście. Syn matkę zabił na miejscu.

*** Wyznanie wiary.** Fryderyk II pytał jednego starego już porucznika: »Ilu też masz w swojej kompanii katolików, ilu reformowanych, a ilu lutrów. Porucznik wymienił liczby.

— A sam jaką wyznajesz wiarę? pytał król dalej.

— Moja wiara, odrzekł porucznik w lot, jest ta, że będę kapitanem z odpowiedniemi dochodami.

— Niech i tak będzie! przemówił Fryderyk; tylko nienamawiaj nikogo więcej do tej wiary.

*** Hiszpańska zemsta.** Toreador Sewilla, jedna ze znakomitości znanych przy walkach byków, posprzeczał się z jakimś rzeźnikiem, i dawszy mu policzek, umknął co prędzej. Nazajutrz gdy przechodził koło sklepu tegoż rzeźnika, żona jego krzyknęła za nim. „Strzeż się teraz, abyś nie dostał pamiątki która ci do śmierci zostanie.„ Sewilla nie zważając ua przestrogę, wrócił raz jeszcze, i powiedział do rzeźniczki żartem: „Widzisz piękna pani jak ja się pani nie boję. Ledwie te słowa wymówił, gdy już rozgniewana rzeźniczka zerwała się z miejsca, i porwawszy swój wielki hiszpański topór, przyskoczyła do niego, i jednem cięciem odcięła mu lewą rękę przy samem ramieniu. Rzeźniczkę tej chwili uwięziono. Ona nic sobie z tego nie robiła, i tylko ciągle powtarzała: „Niech sobie zemną robią co chcą!.. mój mąż jest pomszczony.

*** Walka o palmę poezyi.** W Tuluzie istnieje po dzisiaj Akademia tak zwana *des jeux floreaux* (zabaw kwiecistych) która jest następczynią kolegium *de la gaie science* (wesołej umiejętności) utworzonego w r. 1321 i którego nagrodę pierwszą, złoty fijołek, wygrał trubadur *Arnaud Vidal*. Tego roku wystąpiło do współzawodnictwa 459 rozmaitych utworów, mianowicie 10 mów, 99 ód, 36 innych poezji, 25 listów, 4 mów wierszami, 77 elegii, 34 idyllów, 4 eclogi, 27 balad, 21 hymnów, 27 sonetów i 95 bajek.

[1]) Konstanty Porfizogenit. [2]) Tacyt. kroniki. ks. XII roz. XX.

Przyjechali od dnia 31. do 2. Kwietnia do Lwowa.

PP. Ludwik Hierowski z Niemirowa. Antoni Grochowski z Budynina. Karol Kröbel z Stynowy. Józef Janowski z Łotatnik. Ludwik Biliński z Chocima. Ludwik Gross z Czerniowiec. Eustach. Hohendorff z Baru. Józef Turkiewicz z Żółkwi. Michał Mrozowiecki z Sokołówki. Edward Radziejowski z Krakowa. Mikołaj Lewicki z Koniuszek. Ignacy Zawadzki z Walomowa. Kalixt książe Poniński z Czerwonogrodu. Leonard Metelski z Rawy. Jan Komarnicki z Magierowa. Franc. Męciński z Huty zielonej. Karol Huth z Skałatu. Wincenty Zagórski z Podborzec. Jan Bryńkowski z Żurawna. Krzysztof Agopsowicz z Włodzimirza. Franc. Załuski z Zameczka. Grzegorz Bilewicz z Jaryczowa. Maciej Skarbek z Hurka. Aleksander Radoszewski z Dobczy. Teodor hr. Karnicki z Krakowa. Francis. Miliński z Helenkowa. Włodzim. Cielecki z Byczkowiec. Karol Nitsche z Czudca. Piotr Trzciński z Żyrawy. Adam Żurowski z Przemyśla. Bonifacy Zędzianowski z Wiszenki. Hipolit Czajkowski z Boberki. Adolf Czajkowski z Boberki. Józef Duniecki z Milatyna. Konstanty hr. Mier z Buska. Feliks Gottlab z Dołhomościsk.

Wyjechali od dnia 31 do 2. Kwietnia ze Lwowa.

PP. Maciej Skarbek do Hurka. Piotr Smarzewski do Moczerad. Antoni Czechowski do Tarnopola. Hipolit Winnicki do Ilinicy. Franbiszek Siemianowski do Siemiginowa. Konstanty Krobicki do Mikołajowa. Konstanty Ladomirski do Wierzchni. Rafał Mierzyński do Baryłowa. Adolf Udrycki do Choronowa. Jan Ochocki do Dembicy. Józef Bętkowski do Wiszni.

PP. Dr. Smolka do Stryja. August Żurawski do Horbacza. Ignacy Zawadzki do Huty. Walerja Wajgart do Przemyśla. Bernhard Metelski do Rawy. Ignacy Wankowicz do Smerekowa. Jan Krzyżanowski do Kamionki. Feliks Rychalski do Buska. Leopold Obertyński do Stronibab. Feliks hr. Karnicki do Rogužna. Stanisław hr. Gołuchowski do Kopeczyniec. Maur. Torosiewicz do Ostrowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 1 kwietnia o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr.	$101\frac{5}{8}$	Pożyczka 5% . . .	$86\frac{1}{2}$
Hamburg za 100 tal. branco	$74\frac{1}{2}$	Akcye banku	1096
Londyn za 1 funt szterl.	10.5	Kolej północna . . .	3015
Medyolan za 300 lirów	$102\frac{1}{4}$	Obl. ind.	$78\frac{3}{4}$
Paryż za 300 franków	$119\frac{1}{2}$	Nowa pożyczka z loteryą	110
Agio duk. ces. . . .	$5\frac{1}{2}$	Pożyczka narodowa .	$86\frac{5}{8}$

Dzisiejszy kurs lwowski.	Gotówką		towarem	
	złr.	kr.	złr.	kr.
Dukat holenderski	4	44	4	48
Dukat cesarski	4	46	4	50
Półimperyał zł. rosyjski	8	12	8	19
Rubel papierowy	—	—	—	—
Rubel srebrny rossyjski	1	35	1	36
Talar pruski	1	30	1	32
Polski kurant i pięciozłotówka	1	9	1	10
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	—	—	85	30
Galicyjskie obligacye indemizacyjne bez kuponu	76	30	77	—
5 proc. pożyczka narodowa	85	15	86	—
Śrebro	105	30	104	30

Cukiernia w Iwoniczu

w innym, jak w latach zeszłych lokalu umieszczona z prawem wyszynku wódek słodkich, kawy i herbaty, z bilarem stolikami do gry i innem odpowiedniem umeblowaniem, jest na porę kąpielową tegoroczną do wypuszczenia.

PP. Przedsiębiorcy zechcą się wcześnie zgłaszać do:

Zarządu wód mineralnych
W IWONICZU.

(G. 89. 3—6) Ostatnia poczta **Miejsce.**

Mężczyzna, posiadający prócz wykształcenia uniwersyteckiego, język polski, niemiecki i francuski, życzy sobie przyjąć obowiązek nauczyciela prywatnego w Galicyi. Bliższa wiadomość w Redakcyi «Nowin!»

(G. 104 1 — 3.)

(G. 102.) **Die erste Ziehung** (1—8)

der gräflich Saint-Genois Lose

mit einem bei **solchen Lotterien noch niemals** bestandenen

Haupttrefer von **fl. 70.000** Conv. Münze.

findet am 15 Mai d. J. statt.

Der Besitzer eines solchen Loses spielt auf **5** Treffer, zu fl. **70.000** — auf **43** Treffer zu fl. **50.000** — auf **5** Treffer zu fl. **30.000** — auf **5** Treffer zu fl. **20.000** — **38** Treffer zu fl. **5000** &. &. in **CM.** mit.

Der kleinste Gewinn, welcher mit einem solchen Lose **gemacht werden muss**, beträgt fl. **65** Conv. Münze, und selbst dieser steigt im Verlaufe der Ziehung auf fl. **70** — fl. **75** — fl. **80** CM., man erhält also für ein solches Los, welches jetzt noch um fl. **40** CM. zu haben ist — wenigstens fl. **65** CM. — beziehungsweise fl. **70** — fl. **75** — fl. **80** CM. — mithin beinahe den **doppelten Ankaufspreis** sicher zurück.

Die Ausgabe dieser Partial-Lose ist dem Bankhause J. G. Schuller & Komp. in Wien, am Hof Nr; 320 übertragen: und die Auszahlung der durch den Verlosungsplan sich ergebende Gewinne erfolgt vertragsmässig bei dem Bankhause **S. M. v. Rothschild** in Wien.

Wien, im März 1856.

☞ **In Lemberg sind derlei Lose bei H. J. L. Singer & Compagnie zu haben.**

Wydawca i odpowiedzialny za re[illegible] H. W. KALLENBACH. Z drukarni Zakł. nar. Ossolińskich, dzierzawca W. MANIECKI.